

Michael Krüger
(przełożyła Maja Sowińska)

Nie ma szczęśliwej wyspy. Zbigniew Herbert we wspomnieniach i listach¹

Było to, jak pamiętam, wczesną jesienią 1966 roku, kiedy pewnego ciepłego dnia wybrałem się w Berlinie na wieczór autorski dwóch polskich poetów: Zbigniewa Herberta i Tadeusza Różewicza. Spotkanie było częścią cyklu, który wymyślił Walter Höllerer. Profesor ów, literaturoznawca z Uniwersytetu Technicznego, sam był poetą i założył między innymi „Literarisches Colloquium” nad Wannsee, gdzie co i rusz pojawiali się nowi pisarze z Niemiec i z zagranicy. W krótkich odstępach czasu gościli tam: Yves Bonnefoy i Francis Ponge, Lars Gustafsson i Tomas Tranströmer, Ernst Jandl i Edoardo Sanguineti, Charles Olson i Andriej Wozniesiński.

Tamtego wieczoru zaprosił obu polskich poetów, wraz z ich tłumaczem Karlem Dedeciusem. Ci dwaj raczej korpulentni panowie zasiedli na scenie: starszy, Różewicz, urodzony w 1921 roku w Radomsku, niski, sympatyczny mężczyzna z głębokimi zmarszczkami na czole, czytał swoje minimalistyczne wiersze i wyjaśniał nam, że dawna sztuka w zasadzie ogłosiła upadłość i że wszystkie próby jej ożywienia – konserwatywne bądź rewolucyjne – są daremne. Wygłaszaniu tej nihilistycznej diagnozy towarzyszyło spojrzenie autora tak ponure, że mogłoby się wydawać, iż to człowiek w głębokiej depresji. Mówił ładną, szorstką niemiecką, a kiedy zabrakło mu słowa, patrzył w publiczność szelmowskim wzrokiem, jak gdyby chciał, żebyśmy mu pomogli.

Po tym pogodnym pesymiście nadeszła kolej Zbigniewa Herberta – nos sięgający ku niebu, pod siwą już czupryną, głębokie dołeczki w policzkach i filuterny wzrok. Nawet jeśli nie znało się jego ani jego humoru, nie dało się go nie kochać. Czytał wiersze *Kamyk*, *Trzy studia na temat realizmu*, *Nike która się waha* i *Do Marka Aurelego*. Oto przemawiał moralista wysokiej próby, który brał historię na spytki, łagodnie, acz bezpośrednio, ktoś, kto opowiadał się po stronie pokonanych i wygnañców, kto w kilku poetyckich słowach przywracał im godność. Byliśmy zachwyceni. Nikt nie miał wątpliwości, że właśnie wysłuchaliśmy mistrza, który nie trzusi się scholastycznymi

¹ Michael Krüger, *Meteorologie des Herzens. Über meinen Großvater, Zbigniew Herbert, Petrarca und mich*, Berlin: Berenberg Verlag 2021. (c) Suhrkamp Verlag 2018. With kind permission of the Author.

pytaniami literackich funkcjonariuszy, ale też nie podąża za trendem wykorzeniania poetyckości z poezji za pomocą coraz to odważniejszych eksperymentów. I podczas gdy wypowiedziom Różewicza nadawała ton radykalna negatywność, u Herberta była to radykalna moralność.

Obaj poeci wstąpili za niemieckiej okupacji do Armii Krajowej; obaj, rzecz jasna, mówili po niemiecku, co mnie wówczas zawstydzalo. Dlaczego ci wielcy poeci przyjeżdżają akurat do nas? I dlaczego znają się nie tylko na mitologii i historii, lecz także na niemieckiej literaturze i filozofii?

Traf chciał, że po wieczorze autorskim siedziałem przy piwie naprzeciwko Zbigniewa Herberta, który męczył mnie przyjaznymi, acz ironicznymi pytaniami o współczesną literaturę niemiecką, a ja, dwudziestotrzyletni anonim, zarzucałem go pochwałami. Ów polski poeta zabawiał swoją charyzmą cały stół. A przy tym jego sarkazm był tak ostry, że lepiej było nie wypuszczać się na grząski teren popularnej u nas krytyki marksistowskiej. W każdym razie – był to długi i wesoły wieczór. A ponieważ wtedy, tak jak i teraz, wielcy poeci nie mieli wizy, żegnaliśmy się z obietnicą, że wkrótce chcielibyśmy znów się zobaczyć.

Rok później w Suhrkampie ukazał się tom pt. *Napis* w przekładzie Karla Dedicusa, szlachetnie wydany, w dużym formacie. Nabyłem go w Monachium, moim nowym miejscu zamieszkania, i z zachwytem czytałem wiersze Herberta, niektóre nawet znałem na pamięć – jak *Sprawozdanie z rajy*, które zaczyna się optymistycznie: „W rajy tydzień pracy trwa trzydzieści godzin”, kończy zaś bardzo gorzko: „Na razie w sobotę o dwunastej w południe / syreny ryczą słodko / i z fabryk wychodzą niebiescy proletariusze / pod pachą niosą niezgrabnie swe skrzydła jak skrzypce”. Wiersze te emanowały niemal świętą powagą, taką, która przeszywa na wskroś: *Mors vulgaris*, *Nasz strach* i *Cmentarz warszawski*. Ale uwielbiałem także krótkie liryki prozą, które nie miały nic wspólnego z tym, co w moich kręgach pisało się wówczas w celu ratowania świata. *Krasnoludki* były jednym z moich ulubionych: „Krasnoludki rosną w lesie. Mają specyficzny zapach i białe brody. Występują pojedynczo. Gdyby się dało zebrać ich garść, ususzyć i powiesić nad drzwiami – może mielibyśmy spokój”.

W poprzednim roku znów wpadłem w Berlinie na Zbigniewa Herberta, kiedy odwiedzałem rodziców w dzielnicy Nikolassee i – z Bóg wie jakiego sentymentalnego powodu – szedłem w południe starą drogą do szkoły. Nagle stanął przede mną poeta, obwieszony siatkami pełnymi zakupów. Z małą pomocą z mojej strony przypomniawszy sobie nasze pierwsze spotkanie. Wdaliśmy się w pogawędkę, a ponieważ siatki ciążyły Herbertowi – niósł między innymi butelki wina – poprosił, bym go odprowadził. Jako stypendysta Niemieckiej Centrali Wymiany Akademickiej (DAAD) mieszkał tuż obok naszego mieszkania, na Beskidenstraße 8, w budynku, który jako uczeń codziennie mijałem. Siedzieliśmy w ogrodzie, piliśmy zakupione przed chwilą wino, w sumie pewnie kilka butelek, a Zbigniew tak zabawnie opowiadał o swoich szalonych podróżach po całej Europie, że śmialiśmy się długo i głośno. Zdawał się nie mieć wielkiego zaufania do Polski, a moje nieśmiałe próby rozważenia jakiejś „lewicowej” utopii spełzły na niczym. Wolał trzymać się z daleka od swej ojczyzny. Oczywiście nie pamiętam

dokładnie, o czym wtedy rozmawialiśmy, bo Chianti – o którym dziwnym trafem sobie przypomniałem – coraz bardziej męciło nasze myśli. Ale pomijając politykę i Związek Radziecki, który w 1968 roku raz jeszcze pokazał, że nie zamierza odpuścić bloku Układu Warszawskiego, mówiliśmy między innymi o tym, że powątpiewałem, czy w tych czasach ktokolwiek chce jeszcze czytać wiersze. Zbigniew nie był aż takim czarnowidzem. Swoją wspaniałą ironią potrafił rozbić każdy przejaw pesymizmu. A troski, które wyraźnie rysowały mu się na twarzy, skrywał pod maską szlachetnej wspaniałomyślności. „Ważne, że Karl mnie tłumaczy i Pan mnie czyta, a co do reszty się zobaczy”, jakoś tak się pożegnaliśmy. Był to początek długiej przyjaźni, która trwała aż do jego śmierci.

Gdy rodzice pytali, gdzie się tak długo szwendałem i skąd ten alkoholowy wyziew, odparłem zgodnie z prawdą, że spotkałem poetę z Polski, który mieszka tuż obok i jest geniuszem. Poeci byli mile widziani w naszym mieszkaniu, zawsze obdarzaliśmy ich gościnnością, nigdy nie odważylibyśmy się jednak przedstawić żadnego z nich jako geniusza. Zresztą mało wówczas wiedziałem o polskiej poezji, wcześniej czytałem właściwie tylko Czesława Miłosza – i o Czesławie Miłoszu – najczęściej w czasopiśmie „Monat”. Kto znał się wtedy na Polsce, Bułgarii, Rumunii czy Rosji? Byliśmy okropnymi prowincjonalistami, zwróconymi wyłącznie na Zachód.

Tamtego popołudnia powziąłem zamiar wypełnienia tej niewyobrażalnej luki w wiedzy. W Monachium nadarzały się akurat najlepsze ku temu okazje, między innymi dlatego, że zainstalowano tam jedno z najpotężniejszych narzędzi propagandowych zimnej wojny: Radio Wolna Europa. Jego biura mieściły się tuż przy siedzibie wydawnictwa Hanser. Kiedy szło się do jakiejś knajpy w pobliżu, można było usłyszeć wszystkie języki zza wschodniej granicy. Działem polskim kierował Tadeusz Nowakowski – poliglota, człowiek bardzo zabawny i retorycznie błyskotliwy, z doskonałymi znajomościami, który znał cały świat. Nowakowski zaprzyjaźniony był z Horstem Bienkiem, który pochodził z górnośląskich Gliwic i kierował wydziałem literatury na Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych. A ponieważ w wydawnictwie zajmowałem się książkami Bienka, oczywistym było, że poznałem jego gości z Europy Wschodniej. Pracowałem w końcu w wydawnictwie Hanser, które miało Karla Dedeciusa, jednego z najlepszych tłumaczy i wydawców polskiej literatury, i Konstantego Jeleńskiego, intelektualistę mieszkającego w Paryżu, jako najlepszego doradcę. Jeleński – mąż znanej w tamtym czasie artystki Leonor Fini – był z kolei blisko związany z ukazującym się w Paryżu polskim czasopiśmie „Kultura”, gdzie publikowali wszyscy ważni emigranci, przyjaźnił się także z eseistą François Bondym, który w swoim czasopiśmie „Preuves” – odpowiedniku „Monat” – publikował wiele tekstów z literatury bloku wschodniego i o niej. Innymi słowy – znalazłem się w centrum moich środkowoeuropejskich zainteresowań, i mimo że nie znałem żadnego z języków słowiańskich, rozumiałem je dzięki tym wspaniałym „nauczycielom”.

Najpiękniejszy tekst o Zbigniewie Herbercie napisał chyba jego młodszy kolega Adam Zagajewski: *Początek wspomniania*. Mówi tam, że „są w nas przynajmniej dwie pamięci. Jedna jest inteligentna, wykształcona, i nie tylko zdolna do syntezy, ale nawet

spontanicznie garnąca się do niej; to ona proponuje wielkie linie, racjonalne tezy, ostre kolory. Ale jest też jej skromniejsza siostra, pamięć małych migawek, krótkich chwil, kamera fotograficzna jednorazowego użytku, produkująca atomy wspomnień, które nie tylko nie poddają się amplifikacji i ujednoliceń. Obawiam się, że moja pamięć działa według tego drugiego wzoru. Gdy myślę o Zbigniewie, rzeczywiście widzę go przed sobą jakby na zdjęciach, w monachijskiej Pinakotece, w muzeum we Włoszech, z głową zadartą ku namalowanemu niebu, albo przy stole, z Philippe'em Jaccottetem i Janem Skácellem, w paryskim browarze naprzeciwko „Flore” i w parku wersalskim, w Berlinie, kiedy w ogrodzie przy budynku Literarisches Colloquium patrzy na Wannsee, albo u mnie w domu, przy kuchennym stole. Kiedy z głową wspartą na ręce, w której trzyma papierosa, wypowiada donośnym, grobowym głosem prawdziwie filozoficzne zdanie: „Michaelu, jakie to piękne, że Bóg zechciał nam podarować długie życie”.

Parę lat temu, kiedy stałem w jego gabinecie w Warszawie – Zbigniew dawno już nie żył, przyjechałem do miasta jako członek jury Nagrody im. Zbigniewa Herberta i odwiedziłem Kasię, jego żonę – przyszło mi na myśl tak wiele scen, które chciałem kiedyś opisać, kaskada obrazów. Kiedy kartkowałem jego książki, które zostały w mieszkaniu, książki o filozofii i historii sztuki w różnych językach, z marginesami pokrytymi jego drobnym, pajęczym pismem, od początku do końca, przypominałem sobie liczne pocztówki, które wysyłał do mnie ze wszystkich zakątków świata, cała galeria obrazów w kieszonkowym muzeum, które, podzielone na mnóstwo części, butwieje w jakiejś opuszczonej piwnicy. Zachowało się tylko kilka.

W dziesięciolecie od 1968 do 1978 roku widywaliśmy się rzadko, acz regularnie, najczęściej w Berlinie. Herbert przyjeżdżał do Monachium sporadycznie, na spotkania autorskie w Bawarskiej Akademii, której to został członkiem-korespondentem. Pamiętam, jak letnim wieczorem siedzieliśmy razem z Horstem Bienkiem przy wieży chińskiej w Ogrodzie Angielskim, przed nami stały przerażająco wielkie kufle, które można podnieść tylko obiema rękami – Zbigniew najpierw wydawał się coraz bardziej zagubiony, potem zaczął popadać w melancholię. Gdy wreszcie zaczęła grać orkiestra dęta, a wszyscy goście przyśpiewywali podchmieleni, prędko wyszliśmy. Bawarskie ogródki piwne nie bardzo wówczas pasowały do jego świata.

W roku 1979 otrzymał Nagrodę im. Petrarke. Spotkanie odbyło się w Weronie. Już przy okazji poprzedniego wręczenia nagrody, w Sienie, czytałem jego tekst o Ducciu, który ukazał się w 1965 roku jako część zbioru *Barbarzyńca w ogrodzie*. *Mycie nóg* Duccia należało do ulubionych obrazów Zbigniewa, a jego opisu sandałów nie sposób zapomnieć: „Szczegółem, który wywołuje we mnie niesłabnący zachwyt, są trzy czarne sandały: dwa leżą tuż koło szaflika z wodą, jeden wyżej na stopniu, na którym siedzą Apostołowie. Odbijają mocno od różowego tła podłogi, a powiedzenie «leżą» nie oddaje istoty rzeczy. Są chyba najbardziej ożywione z całej sceny, ich układ po przekątnej i rozłożone na boki rzemyki wyrażają szczerzy popłoch. Niepokój sandałów kontrastuje z bladą martwością zwiniętej zasłony, która wisi nad głowami Apostołów jak złowieszczy całun”. Kto raz przeczyta ten tekst, nigdy już nie zapomni „szczerzego popłochu” sandałów. Zbigniew nie był historykiem sztuki w sensie ścisłym, ale widział

wyraźniej niż większość przedstawicieli tego zawodu. Był poetą sztuki, skupiającym całą swą uwagę na obrazach, które kochał.

W maju 1979 roku napisał do mnie: „Chciałbym bardzo poważnie, bardzo oficjalnie, a do tego na piśmie, podziękować za przyznanie mi nagrody. – [...] Serdecznie dziękuję Tobie i członkom jury. Rozpocząłem już wszystkie sprawy paszportowe i wizowe. Mam nadzieję, że tym razem biurokraci będą dla mnie łaskawi. Piękne dzięki za Twój list do włoskiego konsula, który wprowadzie mnie nie zna, ale słyszał coś o Petrarce... i tak powinno zostać. – Drogi Michaelu, ściskam Cię. – Serdeczne pozdrowienia od Twojego Zbigniewa.”

Niesamowite, że kilka miesięcy później nasz wybór gorzko się potwierdził – wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej, „Solidarność” stopiła lód bloku wschodniego. Kiedy dzisiaj przechodzi się przez Muzeum Solidarności w Gdańsku, można natknąć się na piękne zdjęcie Zbigniewa Herberta i strajkujących.

Tamte trzy dni ze Zbigniewem i Kasią, Siegfriedem Unseldem, Peterem Rühmkorfem i jeszcze wieloma innymi, były wspaniałe. Uroczystość wręczenia odbyła się w palazzo, dużo czytało się na głos i oglądało. Najpiękniejsza była jednak obecność Zbigniewa, moment, gdy czytał wiersze z tomu *Pan Cogito*. Stwarzając go, stworzył dla siebie alter ego, zręczną figurę, której mógł powierzyć nie tylko swoje poglądy na temat świata, lecz także nocne myśli. Zbigniew wynalazł poetycką grę. *Pan Cogito myśli o powrocie do rodzinnego miasta czy Przesłanie Pana Cogito* były tego rodzaju arcydziełami, w których mógł wypowiedzieć wszystko to, co przez wzgląd na swoją konkretność raczej nie pasowałoby do wiersza. „[S]trzeż się oschłości serca” – czy powiedział to do siebie samego? Czy zawsze musiał zasłaniać się Panem Cogito, czy może tym razem zdjął z twarzy jego maskę?

W mojej laudacji w Weronie powiedziałem: „Idee, rozumna inteligencja i produktywna refleksyjność, które także są częścią poetyckiego aktu, a na koniec scalają się w wierszu i ujawniają tylko przypadkowemu spojrzeniu z przypadkowej perspektywy – czegoś takiego bardzo nam brakuje. Być może wiąże się to z faktem, że stare dobre połączenie pisania i myślenia zostało zerwane, że ten, kto myśli, powinien dać sobie spokój z poezją i na odwrót. Zarozumiały, arogancki osąd, który zupełnie ignoruje genezę idei i wiersza. – W ową poetycką przestrzeń nieobecnego myślenia wkracza tymczasem postać, która przedstawia się jako Pan Cogito: mężczyzna średniego wzrostu, dobrze wychowany, intrygujący i świetnie wykształcony, ma różne dziwactwa i bziki, nie uważa swojej wiedzy za własność, za to życzliwie zdaje sprawozdanie z tego, jak rozumie świat. Jest skazany na myślenie, co stwarza radykalną antytezę romantycznego archetypu poety. [...] Pana Cogito naznaczyło doświadczenie naszego stulecia, które mówi, że myślenie jest ostatnią deską ratunku. [...] Nie jestem pewien, czy jest on szczególnie zadowolony z owego doświadczenia, które co dzień musi przeżywać na nowo i które go kształtuje, każdego dnia bowiem spotyka jego siostrę – klęskę myślenia, która także ponosi odpowiedzialność za spustoszenie świata i ludzkości. Co czyni pana Cogito tak przyciągającym? Dlaczego ów cichy głosik słychać od razu, gdy zaczyna mówić? Dlaczego przyciąga wzrok, nawet w tłumie i w różnych przebraniach, czy to

włóczęgi, podróżnego, nauczyciela czy milczącego słuchacza? Czemu ten, który w tak ewidentny sposób ilustruje zdanie Novalisa o tym, że każdy człowiek jest małą, osobną rodziną, nie jest człowiekiem rozdartym, z którego dostrzegamy tylko fragmenty, strzępki całości? Kiedy słuchamy jego sądów, kiedy czytamy o jego czynach, nigdy nie czujemy się zwiedzeni butą, roztkliwianiem się nad sobą, fałszywym współczuciem czy przemądrzałością. Pan Cogito w dziwny sposób zaakceptował sam siebie, wraz ze wszystkimi obrażeniami i ranami, jakie zadało mu to stulecie. Jego głęboka, przeszywająca tęsknota za tym, by różne przejawy własnej egzystencji poddawać refleksji, zaowocowała prostotą, której najbardziej widoczną właściwością jest rzetelność wypowiedzi nawet tam, gdzie do głosu dochodzi to, co nieuniknione.”

Zbigniew Herbert wygłosił w podziękowaniu bardzo mądrą i zabawną mowę, która zaczynała się tak: „Istnieją dwa skrajne sposoby wygłaszania przemówień: jeden efektowny, bardzo dziś powszechny, który obraża fundatora i jurorów. Ten mnie nie przekonuje. Pochodzę z kraju, w którym odwaga nie ujawnia się poprzez ekstrawagancję. [...] Jeśli mam jakieś zasługi, to nie z powodu tego, co osiągnąłem, lecz dzięki mojemu wysiłkowi, próbie prowadzenia dialogu z przeszłością. Do tego zaś potrzeba pewnej cnoty – pokory. Dzisiaj ukazuje się ona w próbach stworzenia jakiegoś większego porządku, mierzenia się ze starymi pisarzami czasów minionych. Doprawdy bolesny proces”. Tu, w Weronie, ciągnął Herbert, Petrarca znalazł prywatne zapiski Cyserona, którego tak podziwiał – i podczas czytania „wpierw towarzyszył mu zachwyt, potem mieszane uczucia, a wreszcie gorzkie rozczarowanie”. Dlaczego, zapytają badacze. „Myślę, że odpowiedź jest prosta: listy Cyserona były zwierciadłem, w którym Petrarca rozpoznał samego siebie – swoje polityczne utopie i żalosne spory, wewnętrzny zamęt, a także wieczne poszukiwanie spokoju. / Zanim Petrarca, ów niezmordowany wędrowiec, udał się w ostatnią podróż, redagował, poprawiał i niszczył swoje rękopisy i listy. Morał tej historii jest istotny także i dla nas: należy zacierać ślady. Ekshibicjonizm nie jest postawą intelektualną”.

Po uroczystości wręczenia odbyła się huczna biesiada w słynnej restauracji „Dodi-ci Apostoli” w Weronie, z wieloma mowami pożegnalnymi, a następnego dnia Hubert Burda, fundator nagrody, zapytał, czy chcielibyśmy przez kolejne pięć lat kontynuować naszą poetycką pielgrzymkę w imię Petrarki. Ponieważ nasz kolega Nicolas Born był śmiertelnie chory, a Urs Widmer nie chciał kontynuować, zapytaliśmy Zbigniewa Herberta i Larsa Gustafssona, czy nie chcieliby z nami współpracować jako jurorzy. Chcieli. Zbigniew i jego żona wyruszyli w podróż po Włoszech, ja z Monachium odeślałem im to, czego zapomnieli z Werony.

Niedługo przyszedł z Berlina list od Zbigniewa, napisany 24 sierpnia:

Drogi Michaelu,

Jesteś aniołem, ale ja wciąż muszę żyć i to jest męka. Piszę do Ciebie prawie natychmiast po moim przyjeździe do Niemiec (podróż, w którą wybrałem się z Kasią, była przepiękna – bez pływania, bez odpoczynku, aż do kresu sił).

Serdecznie Ci dziękuję za mój płaszcz, który tak uprzejmie mi wysłałeś, a obok płaszcza był damski garnitur – okropnie się przestraszyłem – niepotrzebnie. Wiesz, ja nie grzeszę (prawie). Ale ten pierwotny szok mnie prześladowa.

Miło było być z Tobą w Weronie, mimo że nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać. Masz wszystko i ja wiem, jak dużo to kosztuje – twój czas, twoje starania żeby zorganizować coś tak pięknego. Jestem bardzo wdzięczny Tobie, wszystkim uczestnikom, a także Hubertowi. Było po prostu pięknie, a jak coś jest dobre, to trzeba powiedzieć, że jest dobre. Mój bezbrzeżny pesymizm także mi to zaleca.

Martwię się o Twoje zdrowie. Ja przez trzy lata ciężko chorowałem. Tylko po to, by chronić moich przyjaciół, bo ktoś musi poświęcić się za innych. Więc bądź zdrow, a jeśli mogę Ci gdziekolwiek pomóc, jestem gotowy. Jestem czarownicą.

Od razu wysłę Ci moje przemówienie. Nie było tak mądre jak Twoja laudacja. Ale było moje.

Nowe posiedzenie jury (od 10. do 16.10) nie bardzo mi pasuje. Bo będę w tym czasie na Węgrzech. Ale jeśli można je przesunąć, byłbym Ci bardzo wdzięczny.

Chciałbym poprzeć Twoją propozycję Octavia Paza, ale nie po to, żeby u Ciebie zapunktować.

Francis Ponge był moim nauczycielem, nie od poezji, ale od j. francuskiego, więc się go lękam. Mam jeszcze dwie inne propozycje, mianowicie wielkiego poetę węgierskiego Sándora Weöresa i Włocha Andreę Zanzotta, bo przecież Petrarch też był Włochem, ale bez żadnych narodowych argumentów.

Wiesz, że chcę uczestniczyć w jury nie tylko formalnie, ale też osobiście, mówiąc zupełnie serio – chcę powstrzymać futurystyczny pomysł mojego skandynawskiego przyjaciela Larsa, żeby proponować do nagrody także naukowców (badaczy molekuł, krzyku pierwotnego, szympanśów etc.). Niestety jest między nami duża przepaść, ale dam się przekonać, że możemy razem pójść i coś osiągnąć. Zatem, Michaelu, pozdrawiam Cię serdecznie i dziękuję za wszystko. Miłe pozdrowienia kieruję do Nicolasa, Bazona, Petera, Ursa, Hubertusa i drogiego Fritza Arnolda –

Twój Zbigniew

PS Gdybym był już wystarczająco bogaty, wykupiłbym Cię z wydawnictwa Hanser. Uściski, Z.

Cóż, jako poeta nigdy nie wzbogacił się za życia na tyle, żeby móc mnie wykupić, a po kilku latach chciał nawet zmienić wydawnictwo z Suhrkampu na Hanser (co mu się na szczęście nie udało, ale o tym później).

W lecie 1980 roku znów mieszkał z Katarzyną w Berlinie u Barbary Stieß, pisał, podróżował, otrzymywał nagrody, stawał się coraz sławniejszy i bardziej pożądanym. Jego ciało nie chciało jednak brać udziału w tej mordędzie. Duszności Zbigniewa coraz mocniej dawały o sobie znać, a ponieważ nie mógł powstrzymać się od palenia, bardzo cierpiał (parę lat później, na krótko przed śmiercią, musiał przejść tracheotomię, żeby się nie udusić). Pamiętam jedno popołudnie, kiedy poszliśmy razem do Pinakoteki w Monachium. Z niewiadomych powodów koniecznie chciał wejść długimi schodami do Starych Mistrzów, nie spodziewałem się po nim, że jest gotów na taki wysiłek. Pewnie chciał sprawdzić, ile powietrza jeszcze mu zostało. Było to oczywiście upokarzające (i pewnie też komiczne), jak drobne studentki z Japonii i inni odwiedzający nieprzerwanie mijali nas w podskokach, podczas gdy my wspinaliśmy się tuż przy poręczy, schodek po schodku, trzymając się pod rękę. Po dziesięciu schodkach Zbigniew rozsądnie zaproponował, żebyśmy jednak zeszli i najpierw zapalili przed wejściem papierosa. Powtórzyło się to jeszcze dwa razy, a przy czwartej próbie wejścia po schodach do ukochanych obrazów zaproponowałem – jako że zbliżała się godzina zamknięcia muzeum – żebyśmy jednak pojechali windą, na co Zbigniew niechętnie przystał. Ale naprawdę był na skraju wytrzymałości. W niedatowanym liście z tego

czasu pisał do mnie: „Czuję się jak kawałek zamrożonego mięsa, który nagle ląduje na patelni. Podróże, konferencje, zlecenia, obrady, wieczory autorskie itd.”

W lipcu 1980 roku znów spotkaliśmy się w Berlinie u Barbary Stieß, księgarki w słynnej Wolffs Bücherei w dzielnicy Friedenau. U Barbary czuł się jak w domu, mógł tam spokojnie pracować, a listy wysłane do Warszawy pozostawały bez odpowiedzi. W tamtym czasie zaskoczył mnie wiadomością, że odtąd jego stali tłumacze – Dedecius od poezji i Klaus Staemmler od prozy – nie będą już odpowiedzialni za niemieckie wersje jego tekstów i zastąpi ich Oskar Jan Tauschinski, tłumacz i pisarz mieszkający w Wiedniu. Powód pozostał zagadką, ani Suhrkamp, ani Dedecius nie umieli udzielić żadnych informacji. W kolejnym roku Zbigniew znowu wziął udział w obradach Nagrody Petrarki, chociaż namówienie go do podróży wymagało sporych umiejętności retorycznych. Sytuacja w Polsce przyprawiała go o ból głowy, podobnie jak jego własna pozycja w kraju. Jako Środkowoeuropejczyk nie chciał wyjeżdżać do Ameryki, mimo że wciąż proponowano mu tam profesurę, uświadomił mu to krótki pobyt w Kalifornii. Jak długo jednak polski poeta mógł żyć na wygnaniu?

Ilse Aichinger otrzymała nagrodę za rok 1982, uroczystość wręczenia miała się odbyć w Engadynie. 1 czerwca 1982 roku Zbigniew napisał: „Niestety (dla mnie) będę obecny tylko duchem! Ale jak! Entuzjastycznie podzielam wybór Ilse; proszę uroczystie przekazać laureatce moje serdeczne gratulacje!”

Przyjechał za to na wręczenie nagrody Gerhardowi Meierowi w burgundzkim Vézelay w 1983 roku, i chwilami miałem wrażenie, że jest przy mnie ten stary Zbigniew. 26 lipca 1983 pisał z Mediolanu: „Dobrze było znów mieć Cię przy sobie. A także Bellę Biondę, pozdrawiam ją serdecznie. / Bazon podobał mi się tym razem, wspaniale wszystko poprowadził. Włączam go więc z powrotem do mojej duchowej rodziny. / Nasza włoska podróż była cudowna i, mam nadzieję, owocna. Myślę, że dobrze pracowałem, ale głowę mam jak garnek na ogniu. / Bądź zdrow mój drogi Michaelu. Wielki braterski uścisk od Twojego starego przyjaciela Zbigniewa”.

Czy poczta działała dobrze? W liście z 3 sierpnia 1983 roku piszę: „Nie odzywasz się wcale i bardzo się martwimy!!! Napisz proszę chociaż linijkę o tym, jak się masz! Przeczytałem dzisiaj Twój wiersz w przekładzie Miłosza, w amerykańskim przekładzie z *New York Review of Books*, i w nocy napisali, że akurat mieszkasz w Berlinie. Byłoby świetnie, bo wówczas moglibyśmy się przynajmniej zobaczyć. [...]”.

Napisał do mnie 22 lipca 1984 – jego drobne pismo było trudne do odczytania, jakby zniknęło:

Mój drogi Michaelu,

pozdrawiam Cię bardzo bardzo serdecznie i proszę o wyrozumiałość, że tak źle mi idzie pisanie listów. Ale przynajmniej myślę o Tobie często, zawsze z uczuciem przywiązania i przyjaźni. [...] Uprzejmie pytałeś o moje nowe wiersze; więc jeśli masz zamiar opublikować coś w swoim czasopiśmie – napisz proszę do pana OSKARA JANA TAUSCHINSKIEGO – FAVORITENSTRASSE 27-44 A-1040 WIEDEŃ. Przetłumaczył mój ostatni tom wierszy, wiosną 1985 powinien ukazać się w Suhrkampie (po długich sporach z Dedeciusem).

Jeśli się uda, tłumacz (bardzo miły i dobrze wychowany pan) powinien dostać 50%.

Być może uda Ci się sprzedać coś u moich czarnych² kolegów z Bawarskiej Rozgłośni. Ale nie martw się. Moje sprawy finansowe przejęła Barbara Stieß. O pieniądzach w żadnym razie nie można pisać do mnie. My komuniści, jesteśmy ascetami.

Było u mnie dość gorąco, teraz trochę lepiej, spokojniej. Nie martw się... [nieczytelne – MK]

Miałem wczoraj rozmowę z amerykańskim dziennikarzem, który mnie pyta, kim jestem w kwestiach politycznych. No to powiedziałem: liberalnym anarchistą (co jest prawdą), a dureń zapisał: liberalnym faszystą. O Boże!

Piszę w wielkim pośpiechu... [nieczytelne – MK]

Wielkie uściski

Buziaki od Katarzyny

Bądź wesoły i zdrowy

Prawda i sprawiedliwość nigdy nie zwycięży

ale walka jest piękna

Twój stary wierny przyjaciel Zbigniew.

W tamtym okresie pisał też: „Raz jeszcze udało się przeskoczyć przez mur. Dziwię się. Nie do wiary.” I znowu o tym, że powinienem skontaktować się z Tauschinskim, bo ma nowe wiersze do czasopisma „Akzente”. 27 sierpnia odpisałem: “Dzięki, że dałeś znak życia. Napiszę do O. J. T. i Twoje urodziny będą świętowane jak należy. Ale kiedy zobaczę Cię na własne oczy – człowieka, osobę, poetę, obywatela, hermeneutę holenderskiej martwej natury, lib. an., Polaka i przyjaciela?”

Ów ton pełen ironii i rozpaczy zawsze trzeba postrzegać w kontekście wydarzeń politycznych w Polsce. W 1981 roku wprowadzono stan wojenny, ruch Solidarności został właściwie zakazany, część przywódców wsadzono do więzienia, w roku 1982 ostatecznie ją zdelegalizowano. Mord na katolickim księdzu Jerzym Popiełuszcze, którego w 1984 roku dokonały polskie tajne służby, wywołał wielki skandal. W tym okresie małżeństwo Herbertów postanowiło znowu przeprowadzić się do Paryża.

Stamtąd Zbigniew napisał do mnie 13 marca 1986 roku. Niektóre listy z tego czasu, do których się odnosi, zaginęły. Oznajmiłem mu, że mam ułożyć antologię jego tekstów do serii Polnische Bibliothek, stworzonej i wydawanej przez Karla Dedeciusa. W roku 1980 Dedecius założył instytut w Darmstadt ze znakomitą radą doradczą, a w 1982 powołał do życia swoją serię, planowaną na 50 tomów.

Paryż 13 III 1986

Mój kochany drogi Michaelu,

dziękuję Ci serdecznie za tak szybką odpowiedź. Twój list podzielał na mnie jak łyk wódki w mroźny dzień i przyjacielska dłoń na ramieniu.

Skoro robisz wybór moich wierszy do Biblioteki Polskiej, to nie tylko się zgadzam, ale jestem bardzo bardzo szczęśliwy. Natychmiast powiadomię Unselda. Zdjąłeś mi – mój Drogi – wielki kamień.

² Herbert nawiązuje tu do partii chrześcijańsko-demokratycznych (CDU-CSU), które zwyczajowo oznacza się kolorem czarnym. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

Nasze początki tutaj były dosyć trudne. Wyjazd od jednego wielkiego niebezpieczeństwa i trudności do innego, nieznanego, nie był zbyt mądry. Ale nie ma szczęśliwej wyspy – to wiemy chyba obaj.

Poza tym chorowałem (teraz już dobrze) i dzielna Kasia odważnie zorganizowała wiele przeprawek, kupiła różne klamoty, i to wszystko na tak krótki czas (pół roku, jak myślę).

Dziękuję Ci serdecznie za Twoją życzliwą gotowość, ale największe trudności są już za nami i mamy perspektywę (małe stypendium, które pozwala opłacić mieszkanie). Ale łatwo można, wiesz o tym, zarobić pieniądze, kiedy pisze się o polityce (nędza w Polsce, brak wolności etc to wszystko prawda, ale to przecież banały). Oczywiście jestem przeciwko generałom, ale bycie dzielnym tutaj jest dla mnie za łatwe. Zatem ustalone... [nieczytelne – MK]

Więc mój Drogi. Dzisiaj jest słonecznie i trochę pogodnie. Jutro zrobimy (pierwszą!) rundkę po Paryżu i może odwiedzimy starego Holendra, bo Mauritius Haus przyjechał akurat z Hagi. Całkiem nieźle.

Nie mam telefonu, ale mam nadzieję, że niedługo będę miał i wtedy od razu Ci powiem. Katarzyna – najbardziej poszkodowana (dlaczego nie wyszła za jakiegoś bogatego dyrygenta) – poszła właśnie zadzwonić, a wcześniej powiedziała, żeby serdecznie pozdrowić Michaela.

Wielki uścisk dla Drogiego Przyjaciela Twój Zbigniew.

W serii Polnische Bibliothek ukazały się już tomy poetów z pokolenia Zbigniewa – Czesława Miłosza, Tadeusza Różewicza i Wisławy Szymborskiej – przyszedł więc czas także na reprezentatywny tom liryki i prozy Zbigniewa Herberta. Został wydany z pięknym posłowiem Jana Błońskiego, bo ja – jako nie-polonista – nie odważyłem się napisać kompleksowego portretu autora. Teksty podzieliłem, gdy tylko je otrzymałem, na dziesięć rozdziałów, od dzieciństwa przez ars poetica i mitologię, uśmiech anioła w kamieniu i gabinet śmiechu, szkice holenderskie i wreszcie raporty z oblężonego miasta.

W krótkiej przedmowie do mojego wyboru okrzyknąłem Zbigniewa jednym z ostatnich wielkich europejskich poetów: „Kiedy czyta się dzieła tego sympatycznego pana ze Lwowa, cierpiącego przez całe życie na silny polski ból głowy, cały czas ma się wrażenie bycia w centrum niezwykle silnego pola magnetycznego. Wchłaniania się tu i porządkuje niezmierzony ogrom materiału, który kogoś o mniej subtelny umysł mógłby zamienić w dziwnego poetę-historyka. U Zbigniewa Herberta natomiast powstaje porządek, wysepka, która wyłania się nagle pośród chaosu historii. [...] Jego tęsknoty – ta niewyczerpana i ta wyrosła z wydarzeń historycznych – sprawiły, że nie stał się cynikiem, który z finezją używa głosu upadkowi. Nie, ów ostatni Europejczyk, który jak nikt inny zna poczucie straty i który wyraża w języku to, co najwrażliwsze, mimo wszelkich doświadczeń jest zbyt przyjazny drugiemu człowiekowi, by odznaczać się pogardą. [...] [Jego wiersze] to porządne, przejrzyste przedmioty, w których wiedza i uczucie, historia i teraźniejszość, „czas życia i czas świata”, odwaga i rozpacz łączą się solidnie i wytwarzają ciepło, które emitować może wyłącznie wielka poezja. A kiedy ją czytam, od razu słyszę cichy, życzliwy głos jej wynalazcy, widzę jego szelmowsko zatroskaną twarz i wiem, że jest gdzieś blisko. Ta niezachwiana bliskość jest bardzo przyjemna!”

Całe szczęście, zgodził się na mój wybór jego wierszy i tekstów.

23 września napisał: „Twój wybór *bardzo* mi się spodobał. Jest przejrzysty, nieschematyczny i przede wszystkim bardzo wrażliwy. Z całego serca dziękuję – mój drogi poeto”.

Kilka dni później, 26 września, przyszedł list z Berlina: „Serdeczne pozdrowienia z Berlina. Jestem tu, ale w zupełnej tajemnicy, bo chcę pracować. DAAD przejmuję za mnie pocztę, telefonu nie mam. / Horst Bienek zaprosił mnie na spotkanie w Akademii (nie wiem, czy to jeszcze aktualne), więc chcę Ci powiedzieć że najlepszy termin byłby dla mnie między 10 a 15 stycznia 1987. Muszę wyjechać z Berlina do Paryża najpóźniej 19 stycznia (przez wizę). Byłbym Ci bardzo wdzięczny, gdybyś napisał (Ty albo Horstek). Chcę wybrać się w wielką podróż badawczą po Niemczech – musimy to zaplanować. / Wielka prośba: nie masz przypadkiem mojej prozy Atlas. Mam coś przeczytać do radia – a jak wiesz, wiersze bardzo nudzą publiczność. Dziękuję Ci. Dlaczego ciągle muszę o coś prosić mojego drogiego przyjaciela. / Jak się masz? / Ja jestem prawie zdrowy i rozsądnie zrozpaczony. / Wielki uścisk od Twojego Zbigniewa”.

Herbertowie spędzają kolejne lata w Paryżu, przy Passage Hébrard 17/19. Był to ciężki czas, mimo że odwiedzali go młodszy przyjaciele, jak Adam Zagajewski. Wyobrażenie o poniekąd mieszczańskim życiu było tam nie do spełnienia. Nie miał tam żadnej wspólnoty, na której mógłby polegać, nawet gotowość do kompromisów malała. Sporadycznie rozmawialiśmy przez telefon. Skala smutku była porażająca, w naszych rozmowach Zbigniew raz po raz przełamывał go swoim humorem. Wytchnienie dawały mu podróże. Zachowała się pocztówka z Landów, ze szczudlarzem na awersie: „Myślę o Tobie mój drogi Michaelu w wodzie, w górach (chodziłem po Pirenejach) i w powietrzu.”

W lutym 1989 roku napisałem do niego zmartwiony i znowu zaprosiłem go na spotkanie poetów: „Ostatnio cały czas o Tobie myślę, co porabiasz, jak chodzisz po ulicach, czy piszesz. Tutaj gazety pełne są polskich problemów. Przyjechał premier, wszyscy byli przyjaźnie nastawieni, ledwie wyjechał, a już zaczyna się stara kłótnia: czy nasz prezydent powinien pojechać do Polski, czy nie powinien. I jeszcze pertraktacje z Solidarnością. Nie ma dnia, w którym by się tym nie zajmowano – bezpośrednio bądź nie. [...] Jeśli możesz podróżować, koniecznie przyjedź 8 czerwca do Lukki na wręczenie Petrarki. Proszę, spróbuj tak zrobić, razem z Kasią”.

Jego żona odpowiedziała mi 14 marca 1989; Zbigniew leżał w szpitalu: „Drogi Michaelu, / Je t'écrit, de la part de Zbigniew, en français, car mon Allemand est beaucoup trop faible. / Zbigniew regrette de ne pas te répondre personnellement, mais il se trouve encore entre l'hôpital et l'appartement”. Na szczęście w czerwcu 1989 przyjechali do Lukki na święto poetów, piękniejszego i bardziej poruszającego nigdy nie doświadczyłem. Nagrodę otrzymał Jan Skácel z Brna na Morawach, niestrudzenie walczący o wolność w Czechosłowacji, za co groził mu zakaz pisanie i więzienie. A na jego cześć przybyli, oprócz Herbertów, także państwo Jaccottet i Tranströmerowie, Hermann Lenz, Mario Luzi i wielu niemieckich poetów. Był to ostatni publiczny występ Jana Skácela. Zmarł w listopadzie 1989 roku.

Herbertowie zostali w Paryżu. 8 stycznia 1990 – w międzyczasie upadł mur i zaczęła się nowa epoka w historii świata – Katarzyna napisała do mnie: „Życzymy Ci szczęścia, słońca i miłości, i jeszcze wielu innych, bo Cię kochamy. I masz pisać wiersze! Zbigniew napisze do Ciebie wkrótce, ale akurat nie czuje się zbyt dobrze. Czekamy na poprawę. Na pewno nadejdzie”.

Jak odnalazłby się w nowych czasach? Czy w przestrzeni pomiędzy zgodą i odmową zdołałby znaleźć miejsce, w którym poczułby się jak w domu? Musiałby wracać czy zostałby na obczyźnie? Jaką decyzję podjąłby jego wewnętrzny głos?

Zbigniew napisał do mnie dopiero w czerwcu, z Warszawy. Wysłałem mu swój nowy tom wierszy pt. *Hinter der Grenze* [Za granicą], który wychwalał pod niebiosa, co mnie oczywiście cieszyło, ale też wprawiło w konsternację. W rzeczywistości chciał mnie prosić, żebym przyjął do wydawnictwa powieść *Sakrilege* autorstwa jego tłumacza Oskara Jana Tauschinskiego. Musiałem odmówić.

Później miały miejsce niekończące się i często pogmatwane rozmowy przez telefon, w których Zbigniew posyłał do diabła wszystkich wydawców i tłumaczy tego świata, także Siegfrieda Unselda. Zimą pojechałem do Paryża i wpadłem tam na rozgorączkowanego Zbigniewa, który przy pomocy wszystkich swoich umiejętności retorycznych nalegał, by Hanser wydał jego nową książkę. 7 grudnia napisałem do niego: „Z jednej strony dobrze było Cię zobaczyć w tak dobrym humorze i kondycji, ale z drugiej – odniosłem wrażenie, że masz jakieś większe problemy”. Dzwoniłem do Unselda, Dedeciusa i innych przyjaciół, ale nikt nic nie wiedział albo nie chciał mówić.

W roku 1991 Zbigniew wiele razy przyjeżdżał do Monachium i mieszkał trochę w miejskiej „Villa Waldberta” nad jeziorem Starnberger, trochę u Christy Maar, a czasem też u mnie. Często wtedy przychodził do mnie do wydawnictwa, gdyż miałem mu pomóc uporządkować międzynarodowe umowy, co było jednocześnie groteskowym przedsięwzięciem i smutną komedią. Zbigniew szczerze wierzył, że wszystkie wydawnictwa – oczywiście oprócz Hansera, gdzie nie ukazała się jeszcze żadna jego książka – oszukały go albo chcą oszukać, a moje wszelkie starania, by odwieść go od tych coraz groźniejszych urojeń, spełzły na niczym. Doszło wreszcie do tego, że nie miał przy sobie żadnej umowy i jego rozmówcy często w ogóle nie wiedzieli, czego chce i jak mogliby mu pomóc. Jakkolwiek dziwnie to brzmi – urojenia Zbigniewa miały bardzo konkretną podstawę, mianowicie chodziło o to, żeby umocnić swoje miejsce w nowym porządku świata, żeby nadzieje nie przeobraziły się w jedno wielkie rozczarowanie – ale tym zamartwianiem się o swoje wiersze wywoływał okropny chaos.

Wydawca w Ameryce Północnej i w Meksyku, jeden w Brazylii, kilku we Włoszech, Francji, Hiszpanii i Bóg wie gdzie jeszcze, wszędzie sympatyczne pracownice recepcji, które Zbigniew obsypywał uprzejmościami – nikt nie potrafił mu pomóc, ja także nie, a gwałtowny wzrost kosztów za telefon próbowałem wytłumaczyć naszym zainteresowaniem Europą Środkową. Uprzejmie, a był w tym niezrównany, odrzucił moją pomoc. Ta jego wspaniała uprzejmość! Pamiętam, że zapytałem go kiedyś, co z dwudziestego wieku chciałby ocalić. Po chwili wahania odparł: uprzejmość!

25 lipca 1991 r. przyszła wiadomość z Paryża, którą tylko częściowo umiałem odszyfrować. Jego pismo, tak mi drogie, było powykrzywane, najwyraźniej przebywał pod opieką medyczną. Dzięki pięknemu, enigmatycznemu wierszowi *Do Yehudy Amichaja*, wydrukowanemu w zbiorze *Rovigo* w przekładzie Klausa Staemmlera, wiemy, że był w Izraelu – w owym wierszu Zbigniew prosi izraelskiego poetę, urodzonego jak on w 1924 roku, o zrozumienie: „A ty jesteś król i patrzysz na mnie z przyjaźnią / i obawą

– jak długo mogę tułać się / po świecie / – Długo Yehudo / Do końca [...] – O nie ciebie nie proszę oprócz zrozumienia”. Do mnie napisał ze szpitala St. Louis: „Nie złość się. Od marca byłem w podróży (ostatnio Jerozolima), już jestem chory. (biorę silne leki?) / Mimo to praca idzie dalej. Za kilka dni moja nowa tłumaczka przyjeżdża do Paryża i w łóżku będę jej dyktował moje teksty, wszystkie są już gotowe. [...] Proszę o cierpliwość a zostaniesz wynagrodzony już na ZIEMI!” List kończy jak zwykle serdecznym pożegnaniem: „Zbigniew z morfiną”.

Nie mieliśmy pojęcia, jak źle się ma, wiedzieliśmy jednak od innych przyjaciół, którzy widzieli go w Paryżu, że jest w fatalnym stanie. 9 sierpnia napisałem do niego: „Musisz mi powiedzieć, jeśli możemy coś dla Ciebie zrobić, także w kwestii lekarzy. [...] Mógłbyś połączyć podróż do Monachium ze spotkaniem w Akademii, pomógłbym Ci w tym, kazalibyśmy Cię dokładnie obejrzeć, a potem znów wtaczałbyś głaz na górę, jak młody bóg”. Potem prowadziliśmy długie rozmowy przez telefon, w których snuł plany przeprowadzki do Monachium na stałe. Czy mówił poważnie, czy też był to tylko jeden z kaprysów, które kłębiły się w jego zrozpaczonym umyśle? W tym okresie w roku byłem na targach książki we Frankfurcie, poprosiłem więc moją współpracownicę Monikę Hillen, by zajęła się Zbigniewem. Była zachwycona! Zaproponowałem mu nawet, że pod moją nieobecność może pracować u mnie w mieszkaniu, miał także zarezerwowany pokój w hotelu Carlton w dzielnicy Schwabing. Położony był niedaleko księgarni Rachel Salamander, która była wtajemniczona i oferowała pomoc, gdyby jej potrzebował. Poza tym brat Rachel, Benno, był pierwszorzędnym internistą, który w najgorszym wypadku mógł udzielić porady medycznej.

A potem Zbigniew nagle zniknął. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa i jak się ma, aż do 16 grudnia, kiedy przyszedł faks od mojego przyjaciela Martina Mooij z Rotterdamu, kierownika Poetry International: Zbig wylądował w Amsterdamie jako gość fundacji współpracy niemiecko-holenderskiej i można go znaleźć tam albo w wydawnictwie De Bezige Bij (Pracowita Pszczółka). „Mam wrażenie”, pisał Martin, „że czuje się relatywnie dobrze. Chyba jest szczęśliwy!”

Zbigniew pisał: „Proszę wyślij mi przekład mojej książki do Akademii Sztuk (w Berlinie) i umowę. Bez tego pojadę do Polski z pustymi rękami. Muszę sprawdzić ten przekład. Napisałem tę książkę dziesięć lat temu, więc muszę wszystko sprawdzić. / Nie mogłem pożegnać się z Tobą ani z Hubertem, bo w ostatnim tygodniu w Monachium mieszkalem w różnych hotelach, bo rządzi tu duch Waldberty i nie poszedłem do pracy. Proszę wyślij mi rękopis przed 26 grudnia, inaczej nic się nie uda”.

Ponieważ Zbigniew Herbert nalegał na zawarcie umowy ze mną i Hanserem, musiałem przeprowadzić serię długich, bolesnych rozmów przez telefon z Siegfriedem Unseltem oraz Karlem Dedeciusem i spróbować im wyjaśnić, co zaszło. Były tłumacz wydawał się głęboko urażony, że jego praca nie została należycie doceniona, najwyraźniej Zbigniew tak go zbeształ, że i on nie był skłonny podjąć kolejnego kroku w stronę pojednania. Siegfried Unseld w żadnym wypadku nie chciał rozstawać się z autorem, poradził mi jednak, żebyśmy podpisali umowę, wtedy wreszcie zapanuje spokój. W koń-

cu chodziło też o to, że Suhrkamp miał dostęp do najważniejszych dzieł w różnych wydaniach i oferował, że w przyszłości również zajmie się za Zbigniewa prawami zagranicznymi, a ponieważ wszyscy zakładaliśmy, że ten Polak i Środkowoeuropejczyk otrzyma wkrótce Nagrodę Nobla, sprawę trzeba było szybko wyprostować. Wolta Zbigniewa tak bardzo namieszała wśród wszystkiego i wszystkich, że można mu było tylko życzyć jakiejś agencji międzynarodowej, która zadba o jego sprawę.

W lutym 1992 roku dostałem z Warszawy list napisany na maszynie, który niewątpliwie poprawiał rodzimy użytkownik mojego języka. Wszystkie „błędy” z listów Zbigniewa, tak mi drogie, zostały sprowadzone do poprawnej niemczyzny, co nadawało tekstowi nieco biurokratyczny charakter. Z drugiej jednak strony cieszyłem się, że komuś zaufałem i dzięki temu mogłem przeczytać: „piszę do Ciebie dopiero teraz, ponieważ długo i ciężko chorowałem. Stopniowo odzyskuję siły i wreszcie mogę się do Ciebie odezwać. Jak zawsze mam nadzieję na Twoje współczucie i przyjaźń, na które zawsze mogłem liczyć. [...] Żyję w wielkim natłoku niezłatwionych spraw i zmartwień, po tak długiej nieobecności – nic dziwnego. Proszę Cię serdecznie o informację, ile jestem winny wydawnictwu. [...] Drogi Michaelu, mam nadzieję, że mimo opóźnień nasza współpraca nadal będzie trwać. Przesyłam Ci najserdeczniejsze uściski i ciepłe podziękowania za Twoją gościnność i dobroć. Także pani Hillen dziękuję za wszelką pomoc – Dla Ciebie i Ariane wyrazy przyjaźni i serdeczności od Katarzyny. Zbigniew”.

Mimo że list nie mógł wyjaśnić wszystkich spraw, cieszyłem się przynajmniej z jego tonu. O długach wobec wydawnictwa nie mogło być mowy. Ważne, że najwyraźniej znalazł oficynę, która będzie sukcesywnie wydawać jego starsze i nowe dzieła, tak żeby wszelkie powtórzenia i opustki z jego obcojęzycznych książek zostały wykryte i uwzględnione w kolejnych wydaniach. A w Klausie Staemmlerze, który przedtem tłumaczył już jego prozę, najwyraźniej znalazł także tłumacza swoich wierszy.

Moja odpowiedź z początku marca była pełna nadziei, zwłaszcza że mogłem napisać: „Na początku lutego byłem przez tydzień w Nowym Jorku, gdzie w księgarniach wszędzie leży Twoja nowa książka. Widziałem też pełno wydrukowanych Twoich wierszy, nie tylko w «New Yorkerze»”.

Z zaproszenia na spotkanie wokół Nagrody Petrarki w Modenie nie mógł skorzystać. Po krótkim czasie Katarzyna napisała, że Zbigniew tkwi w ciężkiej depresji: „Istotnie, los go nie oszczędza.” I też: „Twój list był jasną kroplą w jego ciemności”.

We wrześniu Zbigniew napisał, że próbował pogodzić się z Siegfriedem Unsel-dem, który przecież wydał wszystkie jego książki w przekładach na niemiecki. Rzeczywiście, podczas targów książki Siegfried Unseld powiedział mi, że ma nadzieję, iż wszystkie spory zostały już zażegnane – oprócz zatargu z Dedeciusem. Specjalnie w tym celu pojechałem z Frankfurtu do Darmstadt, Karol jednak, zraniony do żywego, uniósł się honorem i pozostał nieprzejednany.

W 1994 roku ukazała się piękna, przejrzysta książka Zbigniewa Herberta pt. *Martwa natura z wędzidłem. Szkice i apokryfy*, poświęcona wyłącznie malarstwu holenderskiemu, przede wszystkim z siedemnastego wieku. Można tam przeczytać: „To prawda, los nie

oszczędzał członków gildii Świętego Łukasza. Wiemy, że Hercules Seghers i siedemdziesięciopięcioletni Emmanuel de Witte, przygnieci materialnymi troskami, popełnili samobójstwo. Hals, Hobbema, Ruysdael umarli w przytułkach. Bieda, alkoholizm zdarzały się często, ale bynajmniej nie zawsze.” Ale też: „Nikommu nie przychodziło do głowy pytanie, po co istnieje sztuka – ponieważ świat bez obrazów byłby po prostu niepojęty”³. To właśnie „Zbig-Sound”, ton, którym bez trudu ubiera w słowa najgłębszą rozpacz i największą rozkosz.

Znowu próbowałem zaprosić Herbertów na nasze wręczenie nagrody Petrarki, które tym razem miało się odbyć w Weimarze. Napisałem: „Jeśli będzie trzeba, sam przyjadę do Warszawy, wezmę Cię na plecy i przejdziemy pieszo do Weimaru. Miasto zrobiło się cudowne! Odrestaurowali górny Kochberg, ale nie wygląda tak źle, żeby trzeba się było złościć, Elefant jest obwieszony sztuką nowoczesną, ale nie aż tak, żeby nie móc z tego powodu spać, Ilm wylał, ale do czerwca będzie już można spacerować na brzegu, [...] Proszę, przyjeźdź!”

W sierpniu 1994 roku w “New York Times Book Review” ukazała się recenzja tomików poezji: *Mr. Cogito* by Zbigniew Herbert, w przekładzie Johna Carpentera i Bogdany Carpenter; *About Love* by John Montague i *Diderot’s Cat* by Michael Krüger, w przekładzie Richarda Dove’a. Tytuł brzmiał: *Love and other Tricky Subjects*, podtytuł: „Poems for the post-modern age from Poland, Ireland and Germany”, recenzję długą na dwie strony napisał poeta Stephen Dobyns. Byłem oczywiście dumny, że omawiają mnie razem ze Zbigniewem, mimo że nie miałem mocnej pozycji w tym trio. Jeśli prawdą jest, że Amerykanie kupują – jeśli w ogóle – tylko jeden tomik poezji w roku, to kupili *Mr. Cogito*, Irlandczycy – swojego Montague’a, a Diderot z pewnością odniósł porażkę. Ale tak czy inaczej...

W październiku 1994 roku Zbigniew wysłał mi „słodko-kwaśny tort” jako wkład do książki pamiątkowej na 80. urodziny François Bondy’ego: „Jak się masz? Proszę nie pracuj za dużo. Sumienność to ciężka choroba”. Odpisałem: „Widziałem na chwilę François na przyjęciu ku pamięci Eliasa Canettiego w Zurychu. Wygląda jak wielkie ptaszysko, na szczęście nie stracił swojego dowcipu, i trochę powłóczy nogami, jakby musiał rozkazywać stopom, żeby słuchały się reszty ciała. Ale z jego głową wszystko w porządku”.

Czego jednak nie można było niestety powiedzieć o Zbigniewie. Od czasu do czasu przychodziły pocztówki, pisałem do niego, ilekroć widziałem gdzieś wydrukowane jego wiersze, on sporadycznie dzwonił. W maju 1996 roku Katarzyna napisała: „Z wielkim żalem muszę Ci przekazać, że Zbigniew od wielu miesięcy jest w złym stanie (psychicznym i fizycznym). Dlatego milczy i nie odpowiedział na Twój list, i nie podziękował za Twoje wspaniałe wiersze”.

Najgorsze, że najwyraźniej nie można mu było pomóc. „Bardzo mnie zasmuciła ta wiadomość, jak możesz sobie wyobrazić”, odpisałem jej. „Rozmawiamy o Was ciągle, same dobre rzeczy, ma się rozumieć, i oczywiście z nadzieją, że wkrótce będziemy mo-

³ Cytaty pochodzą ze szkicu pt. *Cena sztuki*.

gli znów się zobaczyć. Wiesz przecież, że jeśli mógłbym jakoś pomóc, zawsze możesz napisać. [...] Czy Zbigniew nie potrzebuje morskiego powietrza na oskrzela? Albo słonego, jak tu w Reichenhall? Można chodzić wokół fontanny ze szklanką obrzydliwej wody, pisać koliste wiersze, pić od rana do wieczora, a potem skakać dookoła jak faun, który siedzi na czubku fontanny i szczerzy się szyderczo”.

Wiele spotkań nie doszło do skutku. Pod koniec stycznia 1998 roku napisałem do niego: „Ponieważ ja nie przyjeżdżam do Warszawy, bo brakuje mi czasu, a Wy nie przyjeżdżacie do Monachium, bo brak Wam ochoty, musimy wybrać jakieś trzecie miasto. Może Berlin?” W marcu dostałem od niego ciepłe życzenia wielkanocne i kartkę, prawie nie do odczytania, którą napisał już w styczniu, ale jej nie wysłał: „Załączam dwie książeczki (wiersze i proza) [...] nie mam tłumacza. Może Ty masz jakiś pomysł. (Musi mieć poczucie humoru.)”.

Zbigniew Herbert zmarł 28 lipca 1998. Na mój list z kondolencjami Katarzyna odpisała: „Cóż mogę Ci napisać? Chyba tylko to, że mozolny bój Zbigniewa z życiem dobiegł końca. Do końca próbował pisać. Od września zeszłego roku – kiedy przez parę dni walczył ze śmiercią, w szpitalu, w związku z zapaleniem płuc, które pokonał także dzięki swojej silnej woli – pisał tom pt. *Epilog burzy*, to jego pożegnalny tom. Potem nie miał już zbyt wiele sił. Jestem zrozpaczona. / Przesyłam Ci ciepłe i serdeczne myśli i dziękuję Ci za Twoje słowa przyjaźni. Twoja Katarzyna”.

Nie było to jednak koniec naszej relacji. Z Katarzyną widzę się co roku w Warszawie, jako juror międzynarodowej Nagrody im. Zbigniewa Herberta. Nadal mieszka, a ma już dziewięćdziesiąt lat, w ich wspólnym mieszkaniu przy Promenadzie, otoczona biblioteką Zbigniewa, tysiącami książek w różnych językach, gdzie roi się od jego komentarzy zapisanych drobnym pismem. W międzyczasie ukazała się dwutomowa biografia Zbigniewa Herberta autorstwa Andrzeja Franaszka, mądrego intelektualisty, który z piękną dbałością o szczegóły przedstawił wędrowne życie poety między Warszawą, Berlinem, Paryżem, Amsterdamem i Florencją (z wycieczkami do Monachium). Opublikowano ogrom korespondencji Zbigniewa z jego przyjaciółmi, tomy pokonferencyjne na temat jego twórczości, a także szereg wspomnień. Mam nadzieję, że wypada dołączyć tę drobną korespondencję na dowód mojej trzydziestoletniej przyjaźni, niestety niekompletną, oraz dokumentację jego powiązań z Nagrodą Petrarki do ważnych dzieł Zbigniewa i o nim, tym najbardziej nieprzejeźdanym z polskich poetów powojennych.

Zachęcił mnie do tego także fakt, że podczas kartkowania moich książek Herberta – było to, jak mi się zdaje, polskie wydanie *Raportu z obłożonego miasta*, Instytut Literacki, Paryż 1983; u nas: *Bericht aus einer belagerten Stadt und andere Gedichte*, Frankfurt 1985, w przekładzie Oskara Jana Tauschinskiego – wypadł nagle trzysłowny rękopis Zbigniewa, leżący tam przez te wszystkie lata. Wiersz nosił tytuł *Do Michaela Krügera*. Jego przekład autorstwa Renate Schmidgall kończy *Wiersze zebrane* Zbigniewa Herberta, które nasz przyjaciel Ryszard Krynicki, poeta i wydawca, opublikował zarówno w swoim wydawnictwie a5, jak i w Suhrkampie we Frankfurcie. Powinien kończyć także spisane tu wspomnienia o tym wielkim polskim poecie:

Do Michaela Krügera

1

W końcu was polubiłem moi śmiertelni wrogowie
dziedziczni jak choroba nędza zły kręgosłup
droga od okopów do piwiarni była długa

więc polubiłem ciebie Michaelu
i was Hubercie Güntherze Horście Mikołaju i Wernerze Janie – lista długa
Barbaro – Sybillo – Renato – Eleonoro –

nie ma w tym żadnych sentymentów
gry podstępny uwodzenia
jest tylko wielkie zdziwienie

nie zapomniałem niczego
nie mam władzy wybaczenia
nie chcę się łatwo rozgrzeszać

ci którzy zostali zabici
są na zawsze zabici

dom obrócony w ruinę
smak popiołu i zemsty

a jednak schodziliśmy się
nad kuflem piwa
w zielonych ogródkach z białymi krzesłami
kiedy lipy ronią
słodkie lepkie nasiona

i mówiliśmy o banalności zła
obrotach losów
dziwactwach fortuny

i to było wielkie zdziwienie
bezlitosna radość

2

niebo wody pagórki
takie same

matki pchają przed sobą wózki
starcy schodzą pod ziemię

nieliczne młodzieniaszki
wciąż studiują przemoc

wasi mężczyźni
zdumiewająco pracowici
czyści

zasypiają teraz
dokładnie
głęboko
i bez koszmarów

dwa pokolenia
i wszystko jest inne

aktorzy
dekoracje
dramat

niczego nie zrobiłem

– obce mi były
czkawka pojednania
handel na cmentarzu
toczone jak bilardowe kule
narady

wędrowałem
z miasta do miasta

uśmiechałem się do dziewcząt
i bez końca gadałem
w pociągu
nocą
na korytarzach
w pokojach gościnnych
na statku
pod skałą Lorelei
w foyer opery
w miejscach urzędowych [?]

niczego nie zrobiłem
chciałem po prostu zrozumieć

3
piszę to w domu
nad jeziorem Starnberger
tu utopiono okrutnie
ostatniego króla Bawarii

opłakują go teraz
łąbędzie

z trzech sklepionych
jak w kaplicy okien
widać las listopadowy
wiotkie gałęzie

gęsto zbite szpilki
o kolorze miedzi
jakby stary gobelin
Polowanie na Jednorożca

jezioro waha się
między mgłą
a modrym metalem

na horyzoncie Alpy
postrzępiona partytura Wagnera
za którym – Bóg mi świadkiem –
nie przepadam

wszystko to nierealne
i piękne
jak śmiech bogów
modrzewie za oknem
dzwonią cicho

zdarzają się tutaj nagłe burze
i wtedy wszystko jest
ciężkie
brunatne
i sine

albo przychodzi
wiatr z gór
i wtedy wszystko jest nadrealne
boleśnie oczywiste
pokryte błyszczącym szklivem

może to wszystko co się stało między nami
– jak sądzisz Michaelu –
jest po prostu meteorologią uczuć

albo trzeba było pewnej odwagi
żeby zdobyć się na gest
półobrót ciała
spojrzenie sobie w oczy